STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856

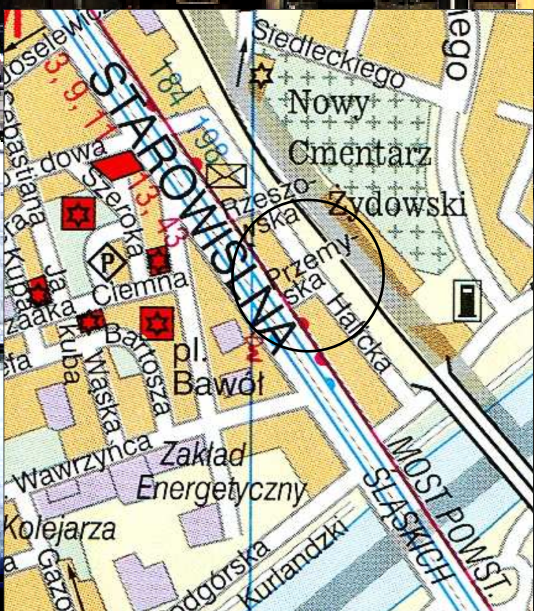
Nr 04/2011

70

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



W numerze





ULICA **PRZEMYSKA**
W KRAKOWIE

SPOTKANIA NA KRESACH

Biografie słynnych Polaków

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA

Zygmunt Ostrowski
SPP – Warszawa



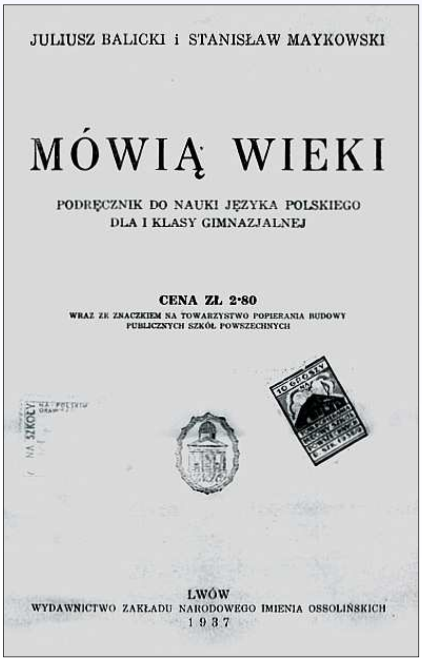
Po raz pierwszy spotkałem się z nazwiskiem Zofii Kossak Szczuckiej w 1938 r. w 3 klasie Szkoły Powszechnej w Królewskim Mieście Gliniany, w Ziemi lwowskiej.

W okresie międzywojennym w każdym roku nasza szkoła organizowała zbiorowy wyjazd młodzieży szkolnej do Zadwórza z okazji rocznicy śmierci 318 żołnierzy polskich broniących dostępu do Lwowa hordom Budionnego w sierpniu 1920r.

Przed wyjazdem do Zadwórza odległego od Glinian 10 km nasza nauczycielka języka polskiego pani Franciszka Dowsilasowa czytała nam na lekcji opowiadanie Zofii Kossak Szczuckiej pt. „Pod Zadwórzem” (drukujemy je w całości – *red.*). Opowiadanie, to było zamieszczone w podręczniku do nauki języka polskiego dla I klasy gimnazjalnej. Podręcznik wydany był przez „Ossolineum” we Lwowie, w 1937 r. Dla nas jeszcze dzieciaków opowiadanie to wywoływało szok i strach. Nie mogłem sobie wówczas wyobrazić, że mógłbym umrzeć za Ojczyznę jak to zrobili polscy żołnierze rekrutujący się przeważnie z gimnazjalistów lwowskich. Sądzę, że ci gimnazjaliści idąc do polskiego wojska na ochotnika na spotkanie z Budionowcami też nie myśleli że mogą zginąć. Oni byli przekonani, że zwyciężą i nikt z nich nie zginie.

Zapamiętałem, że każdego roku przed kurhanem w Zadwórzu nazywanym „Mogiłą” gromadziły się ogromne masy ludzi, między którymi byli też weterani z Powstania Styczniowego i weterani z I Wojny Światowej.

W czasie uroczystego spotkania były patriotyczne przemówienia oraz odprawiana Msza Święta za poległych.



JULIUSZ BALICKI i STANISŁAW MAYKOWSKI

MÓWIĄ WIEKI

PODRĘCZNIK DO NAUKI JĘZYKA POLSKIEGO DLA I KLASY GIMNAZJALNEJ

CENA ZŁ 2·80
WRAZ ZE ZNACZKIEM NA TOWARZYSTWO POPIERANIA BUDOWY PUBLICZNYCH SZKÓŁ POWSZECHNYCH

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1937

Skrócony życiorys Zofii Kossak

ZOFIA KOSSAK, jedna z najświetniejszych polskich powieściopisarek, urodziła się 8 sierpnia 1890 roku w Kośminie nad Wieprzem. Młodość spędziła w majątku Skowródki na Wołyniu. Córka Tadeusza, ziemianina i hodowcy koni oraz Anny z Kisielnickich, pochodziła ze sławnej dynastii artystów; była wnuczką Juliusza i bratanicą Wojciecha. Potem, po wielu latach poświęciła rodowi Kossaków trzyczęściową sagę, obejmującą lata 1848–1863, pt. *Dziedzictwo*. Debiutowała w roku 1922 *Pożogą* – tomem bolesnych wspomnień z Wołynia. W tym samym roku, po śmierci swego pierwszego męża, Stefana Szczuckiego, przyjechała na Śląsk Cieszyński, do Górek Wielkich, gdzie z przerwą na lata 1939–1956 mieszkała do końca życia. Tu wyszła ponownie za mąż, za Zygmunta Szatkowskiego i tutaj też stworzyła swoje najlepsze dzieła, zdobywając światowy rozgłos takimi powieściami historycznymi, jak *Beatum scelus*, *Złota wolność*, *Szaleńcy Boży*, *Legnickie pole*, a zwłaszcza trylogia; *Krzyżowcy*, *Król trędowaty* i *Bez oręża*. Mimo zanurzenia się w historii, cała twórczość Zofii Kossak, określana często mianem humanizmu katolickiego, stanowi zarazem świadectwo epoki najnowszej, próbę wymierzenia sprawiedliwości „widzialnemu światu”. To świadectwo dawała Pisarka również swoim czynnym, pełnym wyrzeczeń i chrześcijańskiej ofiarności życiem. Dzięki niezwykłej osobowości, umiejętności postępowania z ludźmi, wniosła w swoje otoczenie – przepojony duchem ekumenizmu – nowy etos współżycia między katolikami a ewangelikami, co zwłaszcza na Ziemi Cieszyńskiej miało szczególne znaczenie. Duch chrześcijańskiej miłości w Jej postawie ujawnił się najpełniej podczas II wojny światowej. Pracując od początku w konspiracji i biorąc udział w akcji ratowania Żydów pod nazwą „Żegota”, Zofia Kossak pisała na łamach podziemnego pisma „Polska żyje”: „My, katolicy, rozumiejący doniosłość tych wypadków, słyszący jęki pomordowanych, patrzący na łunę pożaru – nie możemy się zachowywać biernie. Naszym obowiązkiem jest pomagać prześladowanym Żydom...” Pisarka, znalazłszy się w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, przez prawie rok pomagała innym, ratowała ludzi od głodu. Cudem ocalona, wzięła udział w powstaniu warszawskim (w tym czasie zmarła jej matka, zginął syn Tadeusz). Po wojnie, do roku 1956 przebywała na emigracji w Wielkiej Brytanii. Wróciła do kraju na fali popaździernikowej „odwilży”. Zamieszkała ponownie w Górkach Wielkich, już nie w dworku szlacheckim, który był spalony, lecz w tzw. domku ogrodnika, gdzie mieści się dzisiaj muzeum Jej imienia. Pracowała i tworzyła nadal, do końca swoich dni. Zmarła 9 kwietnia 1968 roku. Pochowana jest na góreckim cmentarzu.

POD ZADWÓRZEM

Sierpniowe słońce dogrzewa. Hełm parzy głowę niby rozgrzany garnek. Pył, wzbity stopami kilkuset ludzi, unosi się gęstą chmurą nad oddziałem. Lecz Abrahamczycy zdążyli się już do tych niedogodności życia żołnierskiego przyzwyczaić. Wszak są od trzech tygodni na froncie!

Trzy tygodnie! Cywilom zdaje się, że to nic. W rzeczywistości trzy tygodnie to ogrom czasu. To rozległość tak szeroka, że nawet trudno przypomnieć sobie dawne życie. Z niedowierzaniem można słuchać o tym, że jeszcze tej wiosny obecni wiarusi byli w przeważnej ilości uczącą się gimnazjalną lub uniwersy-tecką młodzieżą, że rano „ryli" z łaciny, a po południu, ku niezadowoleniu „belfrów", tłumnie spacerowali po Wałach Hetmańskich. Gdzie te czasy, godne pogardy? gdzie? Zaciągnęli się do wojska. Szkolono ich bardzo krótko, byle tylko pojęli rzeczy najważniejsze. Na więcej nie było czasu. Ziemia paliła się pod nogami. Kto żyw, na front! Poszli więc na front, wcieleni do lotnego oddziału majora Abrahama, dobrze znanego obrońcy Lwowa, do batalionu kapitana Zajączkowskiego. Gdy wychodzili z miasta, matki i siostry żegnały ich z płaczem. Oni śpiewali dziarsko: „Wojenko, wojenko, cóżeś to za pani?..." a na młodszych cywilów sykali groźnie: „Łaziki, do nas! Nie czas na pierzyny!"

Byli wówczas dziecinni, biali i różowi jak rzucane im z balkonów kwiaty, niepodobni do obecnych wychudłych, sczerniałych wojaków. Ale też to było dawno: dwudziestego siódmego lipca, – a dziś jest już siedemnasty sierpnia! Nie dziwota, że matki poznają ich z trudem.

Trzy tygodnie spędzone w nieustannych walkach. Radziechów, Dmytrów, Krzywe, Niestanice, Chodaczkowo... Dwustu pięćdziesięciu jeńców, i karabiny maszynowe zabrane wrogowi. Dopiero w ostatnich dniach szczęście przestało im sprzyjać. Łączność z resztą frontu była zerwana. Od trzech dni nie wiedziano nic poza tym, że bolszewicka kawaleria pod wodzą Budiennego przerwała linię Bugu, zmuszając wojsko polskie do odwrotu. Cofali się również, daremnie usiłując nawiązać kontakt z dywizją.

Pomimo tego nastrój Abrahamczyków nie był zbytnio przygnębiony. Choć wiadomości brakło, choć nikt w batalionie nie wiedział o rozpoczętej przed dwoma dniami wielkiej, zwycięskiej bitwie pod Warszawą, niewidzialne fale powietrzne, podświadome przeczucie, przynosiły pewność rychłych dobrych nowin. Dziś się cofają, jutro pójdą naprzód. Cofają się nie ze strachu lub upadku ducha, lecz z żołnierskiej powinności. Skoro robi to cały front, muszą słuchać i oni. To trudno! Za to tym silniej wyskoczą naprzód, gdy pora sposobna nadejdzie.

Od samego świtu szli, więc z ulgą powitali rozkaz wypoczynku.

Rozsiedli się na trawie, na nagrzanej szkarpie kolejowego nasypu. Pozrywane miejscami szyny lśniły pod słońce. Tu i tam puszczały się już między nimi chwasty. Przecięte druty telegraficzne zwisały.

Leszek Grodzki wyciągnął się z rozkoszą, podkładając ręce pod głowę.

– Czego się śmiejesz? – zapytał leżącego obok Jurka Wańkowskiego.

– Bo sobie pomyślałem, że stary „Kacper", dyrektor naszego gimnazjum – Kacperski, wiesz? – liczy pewnie, że nas na jesieni znowu do budy zapędzi...

Parsknęli obaj śmiechem.

– Dobre sobie! My, do budy!...

– Stary Kacper wykłada u nas grekę... Pamiętam jak dziś: na ostatniej lekcji wlepił mi dwóję, bo nie umiałem opowiedzieć o Termopilach. To przyśpieszyło mój zaciąg do wojska. Byłbym jeszcze z tydzień posiedział w szkole, żeby nie ta dwója.

– Ale żeby o Termopilach nie wiedzieć! – zgorszył się Leszek, mający stale z historii celująco.

– Co to byli za jedni, ci Termopile? – wtrącił pytająco Jasiek Bałyga, kolega ich z tej samej czwórki.

Nie uśmiechnęli się wcale, bo skądże Jasiek miał to wiedzieć?

To nie nazwa ludzi, tylko wąwozu w Grecji, wiesz? – objaśnił chętnie Leszek. – A Grecja, to taki kraj, słyszałeś? W tym wąwozie, jakieś dwa i pół tysiąca lat temu, Grecy bronili się przeciw najazdowi Persów. Tych Persów były dziesiątki tysięcy, a ich, Greków, tylko trzystu. Ale się nie poddali. Walczyli do ostatniego. Otoczeni ze wszystkich stron bronili się, aż polegli. Któryś z nich, umierając, napisał krwią na głazie: „Przechodniu, idź powiedz Sparcie (Sparta to było ich miasto rodzinne), żeśmy tu wszyscy zginęli, posłuszni jej prawom".

– Morowe były chłopy! – zakrzyknął Bałyga z uznaniem.

– Ba, pewnie że morowe. Toteż tyle czasu minęło, a dotąd każde dziecko w szkole o nich wie...

– To takich nazywają bohaterami? Prawda?

Prawda. Kogo mieliby nazywać bohaterami, jak nie takich właśnie?

Dziś już podobnych nie bywa?

– Ano jakoś nie. My na przykład? Jesteśmy dobrzy żołnierze, ale nie żadni bohaterowie...

– Wiadomo, bracie. My lwowskie batiary, Abrahamczyki. No, będę już teraz wiedział, co to znaczą Termopile...

Maryś Korbut, w cywilu student prawa, owijając starannie onucą stopę odwrócił się ku nim na ostatnie słowa i zawołał naraz z przesadą:

Na Termopilach, ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce skruszy wstyd w każdym Polaku...

– Dosyć! Dosyć! – wołali koledzy. — Nie natężaj się, panienek nie ma, nikt cię nie podziwia...

– Panienek nie ma, niestety, a do was szkoda gadać! Ale lepiej sobie przypomnieć, żeby nie wyjść z wprawy westchnął deklamator i naciągnął but.

– Co on mówił? Co to znaczy? – dopytywał się Jasiek.

– To jest wiersz bardzo piękny, który napisał Słowacki, największy poeta polski...

– Może on był wielki poeta, ale to, bracie, nieprawda, że Polakowi ma być czegoś wstyd. Ja się nigdzie stanąć nie powstydzę. Niech sobie patrzy na mnie twarz jaka chce...

– Widzisz, to były inne czasy! Przegraliśmy wtedy wojnę. To było po 1831 roku – tłumaczył Leszek, z góry zniechęcony. Darmo objaśniać takiemu: Jasiek i tak przecież nie zrozumie. Taki prostak! Przemknęło mu przez głowę, że brak kultury literackiej jest wielką wadą człowieka.

Zresztą na rozmowę nie było już czasu, bo ruszali w dalszą drogę. Słońce świeciło prosto w oczy. Muchy brzęczały. Na przydrożnych krzakach pełno dzikich malin. Przejrzałe, wyciągają się ku idącym. Piękne, urodzajne jest tegoroczne lato; cóż, kiedy nikt nie ma dlań głowy i oczu. Wojna! Wojna!

Porucznik Hanak znalazł przy torze wywróconą, nie bardzo popsutą drezynę, naprawił jako tako, umieścił na niej dwa karabiny maszynowe, i cieszy się, że jedzie „pancerką". Zazwyczaj skory do żartów, tryskający dowcipem porucznik Dawidowicz patrzy nań osowiałym wzrokiem.

Bałyga trąca w bok Leszka.

– Widzisz, jaki „Dawidek" niemrawy? Mówił mi jego ordynans, że dziś rano zegarek mu stanął. Sprężyna pękła, tak, bez powodu. Przejął się tym bardzo i powiedział, że go na pewno dziś coś złego spotka.

– E, co by tam złego?! Nawet na bitwę się nie zanosi.

Przecie bolszewiki są za nami, ale tylko patrzeć, jak dogonimy dywizję i wyrównamy. Dopiero wtedy obrócimy się i pokażemy zęby...

– Ojoj, bracie, żebyż już! Pieska rzecz to cofanie...

– Słyszałem, jak sierżant Dyrkacz mówił, że nie zatrzymamy się, aż we Lwowie. Tam nam dadzą wypoczynek, i dopiero nazad...

– Ta joj, bracie! Dziś wieczór możemy być we Lwowie? To się ucieszą matczyska...

– Moja zaraz placek z wiśniami upiecze... Wiesz co? Przyjdź do nas jutro na placek!

– Cicho tam w szeregu! – krzyknął ku nim groźnie kapral Piłat.

Umilkli. Oddział wychodził z lasu na otwartą przestrzeń. Stacja kolejowa Zadwórze leżała przed nimi. Za budynkiem stacyjnym budka dróżnika. Po prawej stronie toru widniało obcięte plantem łyse, podłużne wzgórze.

Z tego wzgórza nagle rozległy się strzały. Sypnęły gęsto na nadchodzących. Równocześnie zagrzmiała artyleria, za stacją prawdopodobnie ukryta. Granat upadł tuż przed pierwszą kompanią i trysnął w górę snopem piachu.

– Padnij! – rozległa się komenda.

Przywarowali, nastawiając co szybciej maszynki. Dowódca nerwowo zagryzał usta. Bolszewicy przed nimi? W takim razie są odcięci. Położenie niewesołe. Jedyny ratunek: przedrzeć się za wszelką cenę.

– Do ataku! Chłopcy! Hurra!...

Porywa się pierwsza linia tyraliery porucznika Marynowskiego. Od toru druga, porucznika Dawidowicza. Huraganowy ogień dziesiątkuje biegnących. Granaty padają gęsto – jak śliwki otrząsane z drzewa. Karabiny maszynowe terkoczą bez przerwy. Ziemia już cała skopana, zryta, zorana. Zielona ruń murawy stała się szaroniebieska od zaścielających ją mundurów poległych lub rannych.

Lecz nic nie może wstrzymać porywu biegnących. Widząc, że za chwilę Abrahamczycy siądą na armatach, baterie zawracają w tył, milkną. I w ten sposób wzgórze jest zdobyte. Chwila ulgi, – odprężenia. Czy to już zwycięstwo? Czyżby droga była wolna?

Krótka to chwila, bo oto z lewej, od lasu, wychyla się szara konnica. Już widać twarze jeźdźców, płaskie, zawzięte. Nad nimi wielkie czapy i długie spisy. Pędzą kudłate, pokraczne konie. Jeźdźcy krzyczą: ,,Ura! Ura! Ura!" - co brzmi jakby krakały stada kruków. Sadzą pod wzgórze. Wita ich grad kul. Celny, niechybny i tak gęsty, że konnica, rozbita na grupy, zawraca pośpiesznie.

Lecz w tejże chwili zmilkłe baterie zaczynają grać ponownie. Odpowiadają im drugie, ciągnące od strony Złoczowa. Teraz już nie ma nadziei. Oddział skupiony na wzgórzu przy torze i przy budce kolejowej nr 287 – otoczony jest ze wszystkich stron. Pociski armatnie rozbiły zapasowe skrzynki z nabojami. Nie zostało ni śladu z improwizowanej pancerki i z por. Hanaka. Polegli już por. Dawidowicz, kpt. Obertyński, por. Juszkiewicz, por. Demeter, podchorąży Getman... Polegli sierżant Baran, kapral Piłat, szeregowcy Maryś Korbut, Rafael Ramert, Ludwik Goliński, Stanisław Medwecki, Tadeusz Wiśniewski – i kto by ich wszystkich zliczył!

Od nieustannego huku otępiały zmysły. Rozgrzana broń parzy ręce. Godziny suną powoli. Coraz gęściej padają ranni i zabici. Śmierć idzie szybciej niż czas.

Odległy o kilka mil zaledwie, w obłokach dymu schowany Lwów nie wie nic o toczącym się tu boju. Nie wiedzą oczekujący synów rodzice. Matka Jurka może rozczynia ciasto na placek z wiśniami, który jej chłopak tak lubi...

Już szósty raz piechota i konnica bolszewicka rzucają się do ataku, by odebrać wzgórze. Szósty raz cofają się, wściekli, odparci...

– Poddajcie się! – ryczą brodate towariszcze. – Poddajcie się, sukinsyny!

– Chłopcy! - woła do swoich kapitan Zajączkowski. – Do ostatniego ładunku!

– Do ostatniego ładunku! – grzmią w odpowiedzi.

Czy jeszcze na długo wystarczy amunicji? Por. Liszka, leżący na swojej maszynce, już zamilkł. Niecierpliwie ogląda się, czemu szeregowiec Szarek nie nadchodzi z nabojami. Czy go ustrzelili po drodze? Nie, oto jest. Nie niesie nic.

– Pa... panie poruczniku! Melduję... posłusznie. Nie ma już naboi...

– Nie ma naboi...

Już druga maszynka milknie. Już i palba karabinowa staje się mniej gęsta. Słońce zachodzi nad lasem czerwono.

Kapitan Zajączkowski spogląda ze wzgórza opanowanym wzrokiem. Batalion zmalał do kilkudziesięciu ludzi. Dookoła ćma nieprzyjaciół. Co najmniej sześć tysięcy, jeżeli nie więcej. A strzelać już nie ma czym...

Woła starając się przegłuszyć huk:

– Chłopcy! Może ktoś tam myśli o poddaniu się... Ja... Nie kończy. Podnosi rewolwer do skroni, strzela, i wali się martwy. Stojący obok por. Marynowski wyrywa Jurkowi Wańkowskiemu karabin, opiera kolbę o ziemię, nachyla się, ciągnie cyngiel. Pada z okropnie rozwaloną twarzą, żołnierze patrzą na niego ze zgrozą. Więc już...

– Nie poddawać się! – krzyczy sierżant Dyrkacz. – żeby nas potem prali w niewoli po pyskach?! Nie poddawać się!

– Nie poddawać się! – wtórują inni.

Nie ma już ani jednego oficera. Polegli wszyscy od kul nieprzyjacielskich lub swoich. Nie więcej jak pięćdziesięciu żołnierzy i dwóch oficerów stoi jeszcze, kupiąc się w gromadę. Ściśnięci plecami, nastawili groźnie bagnety. Nie strzela nikt Nie mają już ani jednego naboju...

Z wyciem tryumfu wdziera się ze wszystkich stron nieprzyjaciel. Rozwścieczone, dzikie twarze. Prą jeden przez drugiego, by dostać nareszcie śmiałków, co zatrzymali ich tyle godzin. A swołocz! A gadziny! Tak ich mało, a tyle straconego czasu i ludzi! – Błyskają zęby tych straszliwych nieprzyjaciół, świecą jak u wilków oczy. I oni nie strzelają również. Nie z braku ładunków, lecz że wolą rąbać szablami. Własnoręcznie zakłuć znienawidzonych Polaków, widzieć tryskającą krew, słyszeć z bliska jęki konania!

Topnieje garstka stojących. Pokryło ją zewsząd mrowie. Leszek Grodzki leży pod ścianą budki kolejowej przy niemym dawno karabinie maszynowym. Nikt na niego nie zwraca uwagi, mają go za trupa. Za chwilę będzie trupem istotnie. Z przestrzelonej piersi krew przesiąka bluzę, ciurka wzdłuż rękawa, spływa po palcach. Ale w głowie jeszcze się plączą resztki myśli, porwane, bezładne strzępy obrazów. Ktoś woła tuż za nim: „Mamo!"... Leszek nie może obrócić głowy, by zobaczyć, kto to woła. Może Jurek?... Szum wypełniający głowę wzmaga się, przemienia w huk, – oczy przesłania mgła. Przez tę mgłę Leszek dostrzega, jak nad zrąbany stos trupów powstaje wysoki, barczysty Jasiek Bałyga. Z rozciętej głowy krew tryska, zalewa czoło i policzki. Z tą czerwoną twarzą, straszny jak upiór, krzyczy wprost w oczy dopadającym go zewsząd Mongołom, krzyczy śmiertelnie zachrypniętym głosem:

– Niech żyje Polska! Niech żyje Lwów!

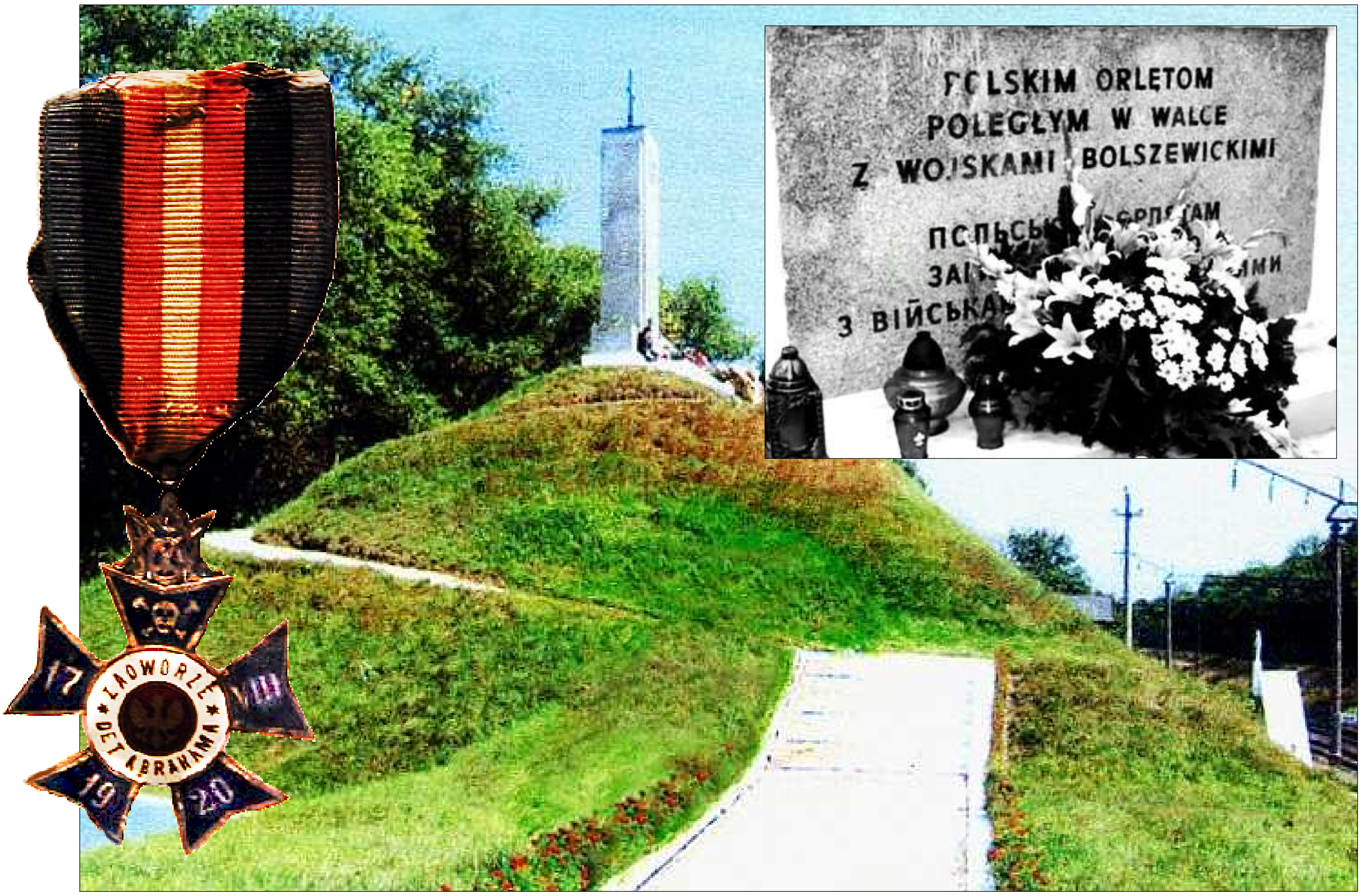
I pada na ziemię pod ciosami dziesięciu szabel. Nie ma już nikogo żywego. I Leszek także dogorywa. Choć słońce dopiero zachodzi, jego już obejmuje mrok. Ostatnia jeszcze myśl plącze się po głowie... Myśl, że... że... gdyby miał siłę unieść zakrwawioną rękę, mógłby napisać na ścianie:

PRZECHODNIU, IDŹ POWIEDZ...

Zofia Kossak-Szczucka



Zdjęcie wykonane po zakończonych uroczystościach z okazji 13 rocznicy śmierci poległych polskich żołnierzy w Zadwórzu koło Lwowa – nazywanym Polskimi Termopilami



Kurhan w Zadwórzu – 2009 r.



Relacya o upadku Kamieńca r. 1672

I OSTATNICH CZYNACH P. JERZEGO WOŁODYJOWSKIEGO

przez IMCI pana Stanisława Makowieckiego stolnika Latyczewskiego (z oryginalnego rękopisu)[1]

Takci to, już po wszystkiemu było, oblężenie skończone a z oblężeniem praca, obrona i nadzieja skończona. Nie było już po co do kwater chodzić, ludzie się rozeszli i każdy o sobie tylko i o swojej chudobie pomyślał. Jeden Wołodyjowski na Zamek odjechał, by tam zanim go Turkom odda, po raz ostatni porządek uczynić. Piechotę swoją na szaniec miejski do wójta Cypryjana odesłał z rozkazem, by tam zostawali, podczas gdy Turcy Zamek odbierać będą. Inne zaś piechoty, to jest ludzi biskupa krakowskiego i referendarza Wąsowiczowi zlecił. Czynił to wszystko rządnie, spokojnie, ale z boleścią na twarzy niesłychaną; od rana chodził tak, często wzdychając i łzy co chwila z oczu mu się puszczały, aż straszno było na rozpacz tego męża poglądać. Raczej mi było zginąć – mówił – bym to był wiedział, że nas ta klęska nie minie, niechbym nie patrzał na ono poddanie!" Więcej krom służby, słów z niego trudno było wydobyć, a lubo kto z perswazyą doń przemówił, nie odpowiadał, jeno się w gorszą jeszcze żałość pogrążał.

Wychodząc z kościoła, jako mówiłem, wszyscy się rozeszli, niektórzy zaś za starostą do domu Bobrykiewicza wstąpili, dokąd i ja, Wołodyjowskiego na Zamek odprowadziwszy, poszedłem. Tam my wkoło generała siedzieli, o zajściach ostatnich rozmawiając, z dziwnym jakimś spokojem, jakobyśmy już z twierdzy wyjechali, a całe oblężenie i biedy nasze gdzieś za nami daleko zostały. Z odrętwienia tego zbudził nas huk straszliwy, przeciągły, podobny temu, jaki się przy wysadzaniu baszty rozlegał. Przez okna izby dech jakiś gorący wionął i powietrze napełnił. Obecni spojrzeli w przerażeniu: Turcy miny zapalili – wymówił któryś – zginiemy wszyscy". Z rynku już gwar i łoskot słyszeć się dawał; kto sam nie widział, pojąć nie może, co się wtedy działo – jaki strach, jakie zamieszanie po ulicach i w domach powstały Jedni jęcząc łamali ręce lub bezmyślnie tu i ówdzie biegali, inni broń w nieładzie chwytając krzyczeli: Brońmy się, bijmy, nie dajmy się niewiernym jak trzoda wybierać". Wszyscy bowiem myśleli, iż Turcy Zamek wysadziwszy, z mordem i pożogą na miasto się rzucą. Męże silniejszego serca chcieli przynajmniej z orężem w ręku umierać, ale nadaremnie. Nikt ich nie słyszał, gdyż ludzie z trwogi zmysły potracili.

Myśmy za generałem wypadli na rynek, gdy w wielkim pędzie nadjechał Wąsowicz: Panie starosto –

zawołał – w Zamku nasze prochy się zapaliły, nie wiedzieć skąd! Trzeba radzić, bo Bóg wie, co się stanie. Ja z ludźmi ku Zamku jadę i tam u końca mostu całą noc stać będę. Wy tutaj myślcie o sobie".

Już konia zawracał, gdym go zatrzymał prosząc, by mi do Ruskiej Bramy dwie roty ustąpił, ale on szorstko ofuknął, że i człowieka nie da i ruszył cwałem. Chciałem tedy swoich mieszczan napowrót do kwatery zagnać, by ją na wszelki przypadek mieć na gotowości, ale ludzie byli rozproszeni, a tych, których zdybałem, zrazu taki popłoch ogarnął, iżby się raczej byli na miejscu dali usiekać. Trzeba było długiej mowy i surowych gróźb oficerów, by choć część onych na posterunki wróciła. Rozstawiwszy ich rządnie u Bramy, pospieszyłem szukać Wołodyjowskiego, o którego mię niepokój brał, iżem go był nie dawno na Zamku odszedł.

Starosta tymczasem wysłał był z jednej strony do załogi w mieście będącej, by im dla uspokojenia przyczynę wybuchu wytłumaczyć, z drugiej zaś do Wezyra, by wedle możności z tego, co zaszło sprawę zdać i posądzenia zamachu jakowego uniknąć. To jednak przyszło po niewczasie. Wezyr bowiem już był ku Zamkowi wyruszył, posłów naszych przodem z janczarami wysławszy i ci właśnie w mury wstępowali, gdy prochy w skarbcu zapalone z grzmotem wybuchły. W jednej chwili ujrzeli się wśród zionącego żaru i lecących kamieni; jeden z tych sędziego w głowę ugodził. Lecz zaledwie miał czas zakrzyknąć, gdy się janczarowie na nich z wściekłością rzucili, porwali i nazad z wrzaskiem i złorzeczeniem jako zdrajców do Wezyra powlekli. Posłowie próbowali się bronić, ale nadaremnie, dopiero przed Wezyrem stanąwszy, Myśliszewski doszedł do głosu: O zdradzie żadnej nie wiem – mówił – przekonaj się Zacny Wezyrze, a jeślim winien, ściąć mię rozkażesz. Pójdź sam ze mną na zamek lub kogo poszlij, a uznasz, iż chyba przypadek to sprawił". Wezyr, wysłuchawszy go z uwagą, napowrót do Zamku z kilku starszemi janczarami wyprawił. Wtedy już niebezpieczeństwo minęło i kamienie lecieć przestały. Weszli więc na dziedziniec, lecz tu na samym wstępie Myśliszewski się wstrzymał; przed nim na ziemi leżał trup Wołodyjowskiego. Cała tylnia część głowy była wyrwana, kości z czaszki i mózgu ani znaku, jedna twarz w całości została. Po chwili Myśliszewski zwolna ku janczarom się zwrócił: Patrzcie – rzekł – oto oficer, który rząd na tym Zamku sprawował; patrzcie dalej i tam trupów siła – wszyscy od wybuchu polegli".



Więcej mówić nie mógł, a Turcy otoczyli ciało Wołodyjowskiego, wpatrując się z ciekawością i żalem, samym wrogom bowiem cnota jego wiadomą była. Wezyr, gdy mu doniesiono co zaszło, w obóz powrócił, janczarom zaś tego wieczora wstępu na Zamek wzbronił, a to by chrześcijanom dać poległych swoich pozbierać. Posłów też aż do rana w namiocie pod strażą zatrzymał. Gdy się to działo, ja, Makowiecki, o niczem niewiedzący, biegałem, Wołodyjowskiego szukając. Trzech nas było przyjaciół, z których jeden Humiecki leżał ciężko postrzelon, a o drugiego strach mię brał, niby przeczucie nieszczęścia. Ale na próżno o niego to u starosty, to u Turków pytałem, próżno

ludzi zaczepiałem po drodze, czy go kto nie widział, czy nie wie, azaliż żyw i zdrowy? Janicki wreszcie zatrzymał mię, mówiąc; Darmo szukasz strapiony człecze, Wołodyjowski nie żyje, samem go widział, leży na dziedzińcu zamkowym, w kącie za wałem".

Co się ze mną stało, powiedzieć nie umiem; jak szalony puściłem się ku Zamkowi; łkanie dech mi dławiło. Ale zaledwie kawał drogi ubiegłem, a już przed sobą zoczyłem pachołków niosących zwłoki. Szli zwolna, przy nich szedł Kazimierz Humiecki. Zdała już poznał mnie i zawołał: Dokądże idziesz, nieszczęsny, już twój brat leży snem twardym uśpiony, już nam nie cieszyć się jego słodką przyjaźnią!" Z temi słowy łzy gęste z oczu mu się rzuciły; ja sam dla żalu nie wiedziałem, gdzie stoję. Obaj wzięliśmy na barki deskę, na której zwłoki leżały i ponieśli do miasta. Tu matka z krzykiem rozdzierającym przybiegła, a zoczywszy ciało, w objęcia córki mdlejąca upadła. Serce pękało na widok tej boleści macierzyńskiej, na głos jej skarg tęskliwych za postradaną pociechą starości. Lecz któż żale wypowie, jakie zmarłego wspominając, owe niewiasty na sercu miały, wszak nie byłby człowiekiem, ktoby go nie żałował! Tenci każdemu dogodzić umiał, w każdym terminie siebie dla drugich poświęcić i zdrowie swoje dla ich obrony nadstawić. Zawsze szczery, czy wobec przeciwnika, czy którego ze swoich, na sejmikach zawsze brnął środkiem drogi, a gdy mu wotować[69] przyszło, na nic krom prawdy nie zważał.

Jako srogi był i nieugięty dla wroga, tak dla przyjaciół przystępny i miły. Chętnie przytem z każdym w konwersacyę wchodził; po wsze czasy ochotny i wesół, życzliwością swoją i obejściem skromnem przy tak świetnych zasługach, nie tylko sławę, ale i miłość u wielu pozyskał. Mnie samemu, gdym go utracił zdało się, że mi duszy kawał wydarto. Trzeci z nas, Wojciech Humiecki, gdy na łożu boleści o śmierci Wołodyjowskiego posłyszał, żal go wziął tak wielki i naraz ból w piersi tak mocny pochwycił, iż w tejże chwili ducha wyzionął. Lepiej mu, już nie widzi troski ni kłopotu; miłość ich obu w śmierci na zawsze złączyła. Jam po nich jeden samotny pozostał, na to chyba, abym ich cnotę ku wiecznej przekazał pamięci.

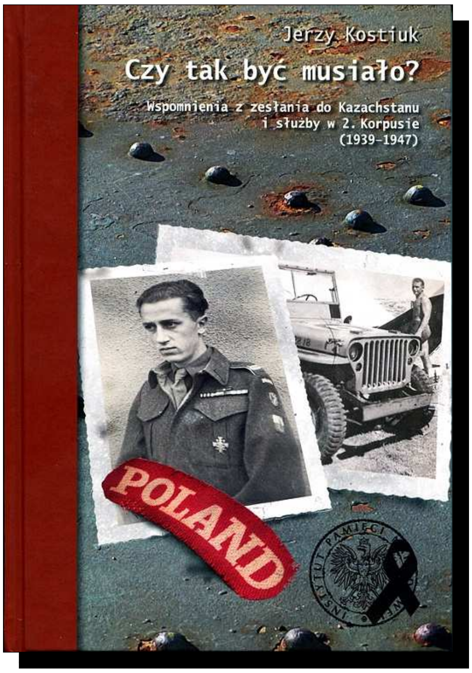
cdn


Juliusz Kossak

[69] Głosować.



PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI



„NIE BYŁEM ANDERSOWCEM TYLKO ŻOŁNIERZEM II KORPUSU POD DOWÓDZTWEM GENERAŁA ANDERSA"

Miło nam odnotować wydanie pamiętników[1] Jerzego Kostiuka – lwowianina a po wojnie przemyślanina[2]. Są to proste żołnierskie wspomnienia mówiące również o tragicznych wojennych losach jego bliskich. Gdy miał 17 lat został wywieziony z rodzinnego miasta w głąb Związku Radzieckiego. Następnie wstępuje do armii gen. Andersa i przechodzi szlakiem bojowym przez Bliski Wschód i Włochy. Bierze udział w bitwie o Monte Cassino. Po wojnie trafia do Anglii, by w 1947 r. wrócić do Polski.

IPN starannie przygotował „Wspomnienia" do druku. Tekst opatrzono w bogate przypisy, obszerną bibliografię, indeksy. Dodano albumik fotografii ze zbiorów autora.

Pamiętnik J. Kostiuka nie obejmuje okresu jego życia po powrocie do kraju. Ale autor napisał także **„Reminiscencje"**. Dotąd niepublikowane, poświęcone są głównie opisowi sytuacji, w której znalazł się żołnierz polski na Zachodzie zaraz po wojnie, okolicznościom towarzyszącym powrotowi do kraju i życiu w PRL-u. A był to dla tego żołnierza czas bardzo trudny. Czas dramatycznych decyzji, niełatwego w życia kraju. Czas często tragiczny.

Dlatego ten tekst, który jest logicznym dopełnieniem „Wspomnień" przedstawiamy naszym Czytelnikom.

Wacław Gaberle

REMINISCENCJE

Mini prolog

Rok 1945 – podpisanie bezwarunkowej kapitulacji przez dwa powalone mocarstwa totalitarne – Niemcy i Japonię przyniosło wielu narodom świata upragnioną wolność i niezależność. Niestety, szereg państw wschodniej Europy nie mogło dzielić się radością zwycięstwa nad barbarzyństwem wojny zamieniając okupację hitlerowską na sowiecką. Świat szalał z radości i w wielu jego zakątkach hucznie bawiono się na placach, miejscach publicznych przy feerii ogni sztucznych i licznych wiwatów. Całe narody mogły odtąd swobodnie oddychać, zdala od obozów zagłady, publicznych egzekucji, prześladowań i ludzkiej poniewierki czy morderczej pracy. 70 milionów ofiar – to bilans żyć ludzkich utraconych na polach bitew i w ramach eksterminacji podbitych narodów przez hitlerowskich katów oraz na nieludzkiej ziemi na Wschodzie.

Po wojnie w szczególnej sytuacji znalazł się naród polski, a zwłaszcza ci Polacy, którzy bądź walczyli na różnych frontach świata bądź też podjęli walkę podziemną z okupantem. Dwukrotnie zawiodły umowy zawarte z aliantami zachodnimi, które zobowiązywały do wspólnej walki z najeźdźcami aż do pełnego zwycięstwa, gwarantującego niepodległość wszystkim krajom europy.

Pod wpływem bezprecedensowego dyktanda Związku Radzieckiego, a ściślej biorąc Stalina, mocarstwa „Wielkiej Czwórki" w trakcie konferencji w Jałcie i Poczdamie podporządkowały się jednostronnej sowieckiej decyzji uznającej podział Europy na dwie strefy wpływów.

Marazm polityczny mocarstw zachodnich był wynikiem niedostatecznego zainteresowania sprawami europejskimi w obliczu rozwoju sytuacji na Dalekim Wschodzie w obawie przed utraceniem wpływów w tym rejonie świata. Taki układ odpowiadał całkowicie Sowietom, którzy bezkarnie forsowali swoje cele polityczne, nie napotykając na żadne sprzeciwy i opory zwłaszcza w kwestiach terytorialnych. Wschodnie kraje europejskie w ten sposób utraciły suwerenność i zmuszone zostały do przyjęcia systemu komunistycznego wprowadzanego przy obecności wojsk radzieckich.

Jednym z najbardziej uciemiężonych krajów stała się Polska ograbiona z województw wschodnich, zmuszona do masowej migracji ludności na ziemie zachodnie i północne. Poczynaniom tym towarzyszyły deportacje obywateli polskich na tereny azjatyckie do osławionych łagrów.

Utworzenie marionetkowego Rządu Polskiego postawiło w niedwuznacznej sytuacji legalne Władze Polski na emigracji, a tym samym wszystkich Polaków przebywających poza granicami kraju.

Niezrozumiały był stosunek Rządu Brytyjskiego do Rządu Lubelskiego, akredytującego przedstawicieli uzurpatorskich władz lubelskich. W ślad za tymi pociągnięciami stosunek do Wojska Polskiego na Zachodzie uległ za-

[1] Stowarzyszenie Przyjaciół Przemyśla w Krakowie opracowało wstępnie pamiętniki naszego członka, Jerzego Kostiuka, na podstawie zebranych materiałów, udostępniając je autorowi w wersji papierowej i elektronicznej (vide www.spp-krakow.org). – *red*

[2] Jerzy Kostiuk „Czy tak być musiało?" Wspomnienia z zesłania do sowieckiego Kazachstanu i służby w 2 Korpusie gen. Władysława Andersa 1939–1947. Wstęp i opracowanie naukowe Piotr Chmielowiec, Rzeszów 2010, IPN.

sadniczej zmianie. Zarówno polscy żołnierze, najwierniejsi towarzysze broni jak i cywile po spełnieniu swej misji powinni zdaniem Brytyjczyków odejść.

Sytuacja Polskich sił zbrojnych na Zachodzie stała się dramatyczną. Za poniesione trudy w działaniach wojennych, na lądzie, morzu i powietrzu zapłatą dla żołnierzy polskich było pozbawienie możliwości powrotu do Ojczyzny z bronią w ręku, jakkolwiek byli uczestnikami zwycięskiej koalicji. Jak długo byli potrzebni sojusznikom w obronie ich terytoriów przed groźbą inwazji niemieckiej otaczano ich wyrazami najwyższego szacunku, pochwał, niewzruszonej przyjaźni. Po wojnie zaś okazali się niepotrzebni, jako niegodny partner w międzynarodowych rozgrywkach politycznych wielkich mocarstw.

Na marginesie nie od rzeczy należałoby wspomnieć, że w trakcie II Wojny Światowej Polacy w ocenie Sojuszników byli czwartą armią świata co do rozmiarów i wartości bojowej, a jednak zostali pominięci w wielkiej defiladzie zwycięstwa w Londynie.

Eskalacja bezpardonowych żądań sowieckich doprowadziła do rozwiązania wojsk polskich na Zachodzie, w tym między innymi II Korpusu dowodzonego przez generała Andersa. Był to cios bolesny, przekreślający wieloletni wysiłek organizacyjny i zbrojny, odesłany w niepamięć za tyle mąk i ofiar, poległych towarzyszy broni za to, że byli wierni do końca swojej Ojczyźnie.

Biorąc udział w walkach na terenie Włoch w 1944 roku, zwłaszcza pod Monte Cassino, w walce zwanej „Bitwą o Polskę”, zostałem ciężko ranny i kontuzjowany. Będąc przekonany podobnie jak i moi koledzy o słusznej sprawie uwolnienia kraju od zbrodniczych okupantów i pomszczenia krzywd przez obu najeźdźców. Wierzyłem w to, że nasz trud nie pójdzie na marne i zostanie sprawiedliwie oceniony przez wszystkich Koalicjantów. Niestety, stosunek Rządu Brytyjskiego do Polaków zaczął stopniowo ulegać coraz znaczniejszemu oziębieniu, przybierając formę obojętności, co musiało doprowadzić do brutalnych rozwiązań! Innymi słowy – nadszedł czas rozstania. Osłodą we wzajemnych relacjach miało być powołanie dwuletniego Polskiego Korpusu Przysposobienia (zawodowego), organizacji nieuznawanej przez Rząd warszawski, która pod patronatem brytyjskim miała ułatwić zatrudnienie byłych żołnierzy polskich. Równocześnie nasilono zmasowaną propagandę na rzecz powrotu do kraju, by jak najwięcej Polaków opuściło Wielką Brytanię. Przyjęcie wersji pozostania za granicą obojętnie czy w ramach PKP czy w innych krajach groziło zdezorientowanym żołnierzom ewentualne pozbawienie obywatelstwa polskiego.

Niemałą rolę w podjęciu właściwej decyzji była też przez niektórych polskich pseudopolityków prowadzona propaganda głosząca o rzekomym sprzeniewierzeniu się przysiędze wojskowej przez tych, którzy wyrażali zgodę na powrót do Kraju. W tym politycznie zagmatwanym galimatiasie trzeba było zdobyć się na podjęcie rozsądnej decyzji.

Powrót do kraju

Zanim zdecydowałem się opuścić Wielką Brytanię rozważałem wiele wariantów osiedlenia się na różnych kontynentach świata. Wśród dostępnych państw gdzie można by rozpocząć na nowo ułożenie sobie życia okazały się Australia lub Argentyna. Rozmyślałem wspólnie z bratem nad wyjazdem właśnie tam, ponieważ innych możliwości w tym czasie nie było, jakkolwiek rzekomo cały świat stał dla nas otworem. Wyjątek stanowiły Stany Zjednoczone gdzie dla imigrantów zostały zamknięte granice. Pozostanie w Anglii nie wchodziło w rachubę. Tutaj oferowano nam głównie pracę fizyczną w kopalniach, przy budowie dróg, a po za tym skrajnie różna odrębność obyczajów i zachowania miejscowej ludności nie rokowały nadziei na zachęcające współżycie. Rząd Brytyjski – mówiąc oględnie – naciskał z cała mocą na powrót do kraju (murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść) zaś Polacy, jak to zwykle bywa, mieli na ten temat zdania podzielone. Byli i tacy, którzy potrząsając szabelką przebąkiwali o trzeciej wojnie światowej i straszyli chętnych na wyjazd jakoby statki miały z góry ustalony kierunek rejsu zamiast do Gdyni – wprost do portu w Odessie.

W międzyczasie po ożywionej korespondencji ze Szwajcarskim Czerwonym Krzyżem udało mi się nawiązać kontakt z matką, która po 6 latach katorżniczej pracy na Sybirze, po powrocie do Polski osiedliła się w Przemyślu. Tam też zjechała ze Lwowa w ramach repatriacji pozostała przy życiu rodzina. Zostałem powiadomiony przez brata o rezygnacji z projektu emigracji do innych kontynentów i decyzji wyjazdu do Polski. Obie te okoliczności wpłynęły ostatecznie na podjęcie zdecydowanych kroków o powrocie do kraju. Po licznych wahaniach zwyciężył pogląd, że najważniejsza dla mnie jest rodzina. Przy narastającej nostalgii zarysowującą się możliwością nacieszenia się swojską atmosferą domową, innego wyboru być nie mogło – jak tylko wyjazd do Polski, choćby nawet za cenę ewentualnych spodziewanych represji. Postanowiłem więc na własną rękę, bez zgody przełożonych udać się do Konsulatu Polskiego w Londynie. Sam jeden, w mundurze wojskowym z naramiennikami kaprala podchorążego wszedłem do dużego budynku, w którym poza olbrzymim hall'em, kilku kondygnacjami i starodawnymi dużymi drzwiami – jak w pałacu królewskim – panowała bezwzględna cisza. Nikt nie zakłócał atmosfery spokoju, zaś co się działo za zamkniętymi drzwiami trudno było przewidzieć. Ponury nastrój był powodowany całkowitym brakiem jakiegokolwiek ruchu. Po dłuższym zastanowieniu i zdecydowaniu jaką drogę obrać w tym labiryncie schodów i korytarzy, gdy już miałem skierować się do najbliższych drzwi, ujrzałem dwóch wojskowych dziarskim krokiem maszerujących po schodach na pierwsze piętro. Co mnie uderzyło z miejsca, to – ich ubiór. Buty z cholewami, granatowe portki, zielone wypuszczone na zewnątrz koszule. Już wiem, przecież ja takich panów niejednokrotnie widziałem, ale żeby tutaj, w polskim konsulacie? Nie do wiary. Na szczęście szybko ulotnili się. W ślad za nimi poszedłem do końca korytarza i tutaj na schodkach półpiętra ujrzałem kilku Polaków ubranych po cywilnemu oczekujących konsula pod drzwiami jego biura. W tym gronie byłem jedynym wojskowym petentem. Nagle, ktoś zadyszany pędząc po schodach, wpadł prosto na mnie. Nie zważając na nikogo więcej, skierował na mnie potok słów które mniej więcej brzmiały w ten sposób: „A to pan, panie podchorąży, witam, witam serdecznie i zapraszam do siebie.” Wszystkich oczekujących

na niego pozostawił pod drzwiami, a mnie zaprowadził do siebie do gabinetu. Widocznie takich ryzykantów jak ja nie spodziewał się wielu. Nie trudno było domyślić się, że był to konsul rządu warszawskiego, człowiek młody, wyglądem przypominający osiemnastolatka, pałający znacznym tupetem i rzadko spotykaną elokwencją. Nie dopuszczając mnie do głosu poprosił o zajęcie miejsca w wygodnym fotelu. Dowiedziawszy się o moim zamiarze powrotu do kraju zasypał mnie wyświechtanymi sloganami jak to w powojennej Polsce jest dobrze, pracy nie brakuje, a możliwości podejmowania studiów dla oczekiwanych repatriantów są po prostu nieograniczone. Kraj bowiem na nich czeka z otwartymi ramionami. Szczególny nacisk kładzie się na powrót żołnierzy polskich z zagranicy, znanych z waleczności i wierności swojej ojczyźnie. W końcu doszedł do wniosku, że udało mu się rozwiać wszelkie wątpliwości na stawiane pytania, uścisnąwszy mą dłoń życzył szybkiego powrotu do domowych pieleszy.

Po wielce „budującym" spotkaniu skierowałem się do attaché wojskowego. Był to osobnik wysokiego wzrostu o posępnej twarzy, lat około czterdziestu zasypujący mnie gradem pytań na tematy osobiste oraz stosunki rodzinne. Potem pan major wysłuchał mnie ze stoickim spokojem i bez szczególnych emocji pozytywnie zaopiniował moje starania o repatriację.

Nieco skołowany tą wizytą, nie dość przekonany o wyczerpującym załatwieniu sprawy powróciłem do mego obozu w Bodney Airfield. Po zdaniu relacji bezpośrednio przełożonemu o pobycie w Konsulacie Polskim w Londynie zacząłem przygotowywać się do podróży. W niedługim czasie znalazłem się w obozie dla repatriantów, skąd miałem odpłynąć do Gdyni. Tym razem dowódca Szkoły Karpackiej nie robił trudności, przydzielił mi samochód i podał rękę na pożegnanie, pomimo wyczuwalnej dezaprobaty podjętej przeze mnie decyzji.

Po przybyciu do obozu repatriantów zaskoczył mnie gwar, krzyk, gorączkowe dyskusje, podniesione głosy. Był to odmienny obraz Polaków opuszczających Anglię od tych, którzy tam pozostać mieli. Zwykle mówiono, że Polacy nie mają zdolności handlowych. Natomiast to z czym się spotkałem właśnie tutaj przeczyło takim opiniom. Wszyscy z wszystkimi i wszystkim handlowali od białego ranka do późnej nocy. Nawet nie brakowało chętnych do handlu rybami, śledziami i innymi artykułami żywnościowymi. Inne branże również cieszyły się niezwykłym powodzeniem.

Obóz był nawiedzany głównie przez Hindusów, mieszkańców najbliższych okolic i wszędobylskich murzynów. Zakwaterowanie mieliśmy niezłe, wraz z normalnym wojskowym wyżywieniem. Po wypełnieniu różnego rodzaju dokumentów zostaliśmy uznani już za żołnierzy zdemobilizowanych, wręczono każdemu cywilne ubranie, koszulę i krawat oraz odprawę pieniężną! Anglicy słynęli zawsze z wielkiej skrupulatności w sprawach finansowych i tym razem wykazali się wielką perfekcją w rozliczeniach za cały okres służby wojskowej, wręczając określoną kwotę pieniędzy do rąk każdego repatrianta. Ja również otrzymałem zatem kilkaset funtów z dokładną ilością pensów.

Podróż statkiem trwała około 2 dni kończąc swój rejs przybyciem do portu w Gdyni. Na statku można było korzystać z kantyny w walucie brytyjskiej. Widoczność mieliśmy słabą z uwagi na otaczające ciemne chmury oraz panoszące się mgły. Pasażerowie zabawiali się grą w karty przy dyskretnej klubowej muzyczce. Prowadzone były rozmowy szczególnie związane z oczekiwanymi wydarzeniami mającymi nastąpić w najbliższej przyszłości. Przy całkiem niezłych drinkach marzono o dwóch polskich artykułach spożywczych, których lepszych nie ma ponoć na świecie, to jest o polskiej kiełbasie i wódce. Na nadbrzeżu czekało na nas wielu Polaków. Euforia ze spotkania nie trwała jednak długo, ponieważ trzeba było statek opuścić. Po wyładowaniu bagaży zamiast wpaść w objęcia oczekujących nas rodaków, znaleźliśmy się w obozie otoczonym drutem kolczastym strzeżonym przez żołnierzy polskich bez orzełków z koroną, na czapkach. Początkowo był to szok. Nic nie rokowało nadziei na polepszenie nastrojów. Podobne sytuacje były uprzednio przerabiane przez każdego z nas. Do tego doszedł jeszcze brak polskich pieniędzy umożliwiających dokonywanie zakupów w wojskowym sklepiku. Stan taki rodził pytanie – czyżby miało to być preludium do potraktowania nas jako niepożądanych obywateli? Ale pomysłowości Polakom nigdy nie brakowało, z miejsca przystąpiliśmy do nawiązania kontaktów handlowych ze strażnikami. Zamiast pilnowania obozu zaryzykowali wymianę polskich pieniędzy na potrzebny towar zagraniczny, zwłaszcza na papierosy amerykańskie. Handel kwitł ku zadowoleniu obu stron w toaletach, ustronnych miejscach, a nawet i na wartowni, w zależności od wielkości pokusy i zainteresowań obcym towarem. Bez trudności sprzedałem parę zelówek na męskie półbuty za 800 zł, co pozwoliło na poczęstunek polską kiełbasą z kolegami i wartownikami. Następnego dnia rozpoczęło się kilkakrotne spisywanie danych personalnych, wypełnianie różnych ankiet i bardziej lub mniej potrzebnych dokumentów. Najbardziej mnie ubawiła rubryka o przynależności do partii politycznych przed, w czasie i po wojnie. Być może byłem za młody na zawracanie sobie głowy takimi sprawami, tym bardziej, że jak dotąd nie było ani takiej potrzeby, ani odpowiedniej atmosfery.

Po zakończeniu wszystkich wymogów proceduralnych wydawało się, że wkrótce nastąpi pora opuszczenia obozu. Niestety. Po południu kazano nam zająć miejsca w wagonach towarowych i pod strażą, przy osiemnastostopniowym mrozie wożono nas tam i z powrotem od Sopotu do Gdyni. Gdy się ostatecznie ta zabawa skończyła, pozwolono nam już na własną rękę udać się do własnych domów.

W trójkę postanowiliśmy pojechać do Przemyśla. Droga była długa i niebezpieczna z uwagi na wszędobylską kradzież oraz liczne awantury i bójki. Ponieważ nasze bagaże były przedmiotem szczególnego zainteresowania, zwróciliśmy się do kierownika pociągu o pomoc w postaci przechowania ich w jego służbowym przedziale. Argumentem nie do odrzucenia okazały się papierosy amerykańskie, ówczesny rarytas na polskim rynku. W Łodzi trzeba było przesiąść się do pociągu udającego się do samego Przemyśla. Na jednym z peronów zaskoczyły nas znienacka wrogie okrzyki ze strony jakichś podejrzanych małolatów – na widok angielskich mundurów.

Dalszą podróż stanowił istny

koszmar, trzeba było stosować różne formy rozgrzewki ponieważ były to stare nadające się do kasacji wagony, tak zwane „czwartej klasy", z powybijanymi oknami. Przy silnym mrozie, nieczynnych urządzeniach grzewczych dawał się we znaki brak ciepłych napojów. Kolega przygotowujący się do wysiadania w Jarosławiu dokonał cudów zręczności przy goleniu mojej brody brzytwą. Na szczęście przy tak niebezpiecznej operacji przy ustawicznie rozklekotanym wagonie powstało zaledwie kilka zadraśnięć.

Po żołnierskim pożegnaniu, obiecując się odwiedzać wzajemnie rozstaliśmy się na dworcu jarosławskim. Dalszą podróż do Przemyśla kontynuowaliśmy już tylko we dwójkę. Drugi towarzysz jazdy zaraz po opuszczeniu dworca przemyskiego ruszył szybko do domu znajdującego się nie opodal stacji kolejowej.

Zostałem sam i będąc po raz pierwszy w Przemyślu, nie wiedziałem co począć ze sobą. Padał śnieg, na ulicy nie było widać nikogo. Nieco przemarznięty wstąpiłem do dworcowej restauracji, w której – nota bene – nie było nic do zjedzenia, poprosiłem więc o kieliszek wódki. Tej też nie było, ale uprzejma kelnerka poprosiła, żebym chwileczkę poczekał, wsypała do małego wiadereczka jakiegoś proszku i ... wódka była gotowa.

Przed dworcem nie doszukałem się żadnego środka komunikacyjnego, co wpłynęło na pogorszenie mego stanu psychicznego. Po prostu nie wiedziałem co mam ze sobą zrobić, nie znając miejsca zamieszkania matki ani możliwości zabrania ze sobą bagażu. W pewnym momencie ujrzałem małego chłopca ze saneczkami. Byłem ocalony! Za cenę solidnej nagrody wspólnie przejechaliśmy przez całe miasto aż na Zasanie, do mieszkania zajmowanego przez matkę i brata. Sądzę, że nie muszę opisywać momentu spotkania. Ile radości, ile łez i niekończących się opowiadań. To po prostu trzeba przeżyć.

Po paru dniach zażyłości w pieleszach domowych trzeba było rozglądać się za jakąś pracą. Przedtem jeszcze musiałem się zarejestrować w RKU i w Miejskiej Radzie Narodowej, gdzie pewna urzędniczka była zdziwiona moim powrotem do kraju. Nawet zapytała czy nie lepiej było pozostać za granicą. Oczywiście roztropniej było dać wymijającą odpowiedź zakończoną równie dziwną propozycją – proszę spróbować wyjechać, ażeby się przekonać jaki wybór byłby korzystniejszy.

Nie ominęła mnie też ponowna komisja poborowa, w wyniku której uznano mnie za zdolnego do służby wojskowej z zachowaniem stopnia kaprala, przy równoczesnym pozbawieniu tytułu podchorążego. W każdym razie zostałem ostatecznie zdemobilizowany otrzymując książeczkę wojskową.

Również ciekawostką była uzyskana pomoc ze strony UNRA (amerykańska organizacja pomocy dla ofiar wojny). Pomoc rzeczywista może i była, ale zanim dotarła do Przemyśla została mocno oskubana. Otrzymałem mocno przechodzoną marynarkę i parę podzelowanych półbutów. O uzyskaniu pracy mowy nie było. Wszędzie, po wypełnieniu ankiety personalnej i napisaniu własnego życiorysu, padała odpowiedź: „dziękujemy, ale na razie nie dysponujemy wolnymi miejscami". Owszem, oferowano w miejsce pracy możliwość zapisania się na kilkumiesięczne kursy na sędziów, prokuratorów czy podpisanie umowy na oficerską szkołę o kierunku polityczno-wychowawczym. Podobnymi propozycjami byłem całkowicie zaskoczony i zbulwersowany, obawiając się nieoczekiwanego podstępu tym bardziej, że wielu Polakom powracającym z zagranicy groziły sfingowane procesy. Symboliczną postacią oskarżoną o domniemane przestępstwa przeciwko władzy ludowej był pułkownik St. Skalski, as lotnictwa polskiego na Zachodzie, oskarżony za rzekome szpiegostwo i skazany na karę śmierci, zamienioną później na wieloletnie więzienie. W sytuacji niepewnego jutra, ochronnym parasolem okazało się przystąpienie do masowej organizacji młodzieżowej, skupiającej w owym czasie młodzież o wielu poglądach i zapatrywaniach politycznych.

O dostaniu się na studia normalną drogą, otrzymania stypendium czy „akademika" mowy nie było. Tylko dzięki znajomym w Krakowie udało mi się zapisać na prywatną Akademię Handlową, następnie upaństwowioną o nazwie Wyższa Szkoła Ekonomiczna. Nie muszę dodawać, że opłaty semestralne i za każdy egzamin były stosunkowo dość duże.

W 1949 roku wyjechałem więc do Krakowa z całym majątkiem zawartym w jednej walizeczce, kilkoma tysiącami złotych i kilkunastoma paczkami papierosów. Nie mogłem liczyć na żadną pomoc ze strony rodziny. Przez pewien czas mieszkałem kątem u obcych ludzi i dopiero po 3 miesiącach dzięki nim otrzymałem skromną posadę biurową. Zarówno po przyjeździe do kraju jak i w czasie studiów w celu zabezpieczenia swojej egzystencji jak i mojej matki zmuszony byłem zarabiać grą na akordeonie. Tak więc opisywana przez konsula londyńskiego sielanka życia w Polsce Ludowej okazała się wielką mistyfikacją.

Przez cały czas aż do powrotu Gomułki I sekretarza KCPZPR do roku 1956 byłem traktowany podobnie jak i pozostali uczestnicy walk w Wojsku Polskim na Zachodzie jako obywatel drugiej kategorii. Był to bowiem okres bezwzględnego przestrzegania zakazu utrzymywania korespondencji i przyznawania się do kogokolwiek mieszkającego za zachodnią granicą ani nawet głośnego wspominania popularnej i jakże drogiej piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino".

Podczas starania się w późniejszym okresie o emeryturę potrącono mi 2 lata ze stażu pracy to jest za okres od 1946 do 1947 roku, ponieważ byłem jeszcze wtedy w wojsku za granicą, co wcale nie przeszkadzało przyjęcia daty zdemobilizowania mnie w 1947 r. Chociaż zostałem uznany za inwalidę wojennego nie było odpowiedniej atmosfery do otrzymania z tego tytułu renty inwalidzkiej przez szereg lat. Władze wojskowe nie dysponowały odpowiednimi dokumentami. Dopiero w latach 80-tych po otrzymaniu szczegółowych danych z Ministerstwa Obrony Wielkiej Brytanii, renta została przyznana. Wszystkie opisywane okoliczności noszące znamiona zakamuflowanych szykan były charakterystyczne w dobie kierowania państwem przez „Twardogłowych". Mimo upływu lat, ustawicznie wypominano mi wojenną przeszłość. Nie liczyło się, sumienne wykonywanie pracy, lojalność, pozytywne oceny przełożonych, prócz braku „twardego kręgosłupa politycznego". Długo trzeba było czekać, żeby droga do awansu spo-

łecznego stała się dostępną dla wszystkich obywateli Państwa Polskiego. Ale czy na pewno i czy w każdym przypadku?

Gdy pod koniec lat osiemdziesiątych otworzyła się możliwość objęcia wskutek braku innych potencjalnych kandydatów – ekskluzywnego stanowiska dyrektora Zjednoczenia Państwowych Przedsiębiorstw Przemysłu Terenowego w Rzeszowie, odwiedził mnie pracownik Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Był to działacz „drugiego garnituru", który zaskoczył mnie nieoczekiwanym pytaniem czy byłem andersowcem. Odpowiedź moja była następująca: „nie byłem andersowcem tylko żołnierzem II korpusu pod dowództwem generała Andersa". Oczywiście kandydatura moja z miejsca upadła. Warto bowiem przypomnieć, że po głębokich przemianach politycznych w Polsce nie do wszystkich dotarła potrzeba dostosowania się jeśli nawet byli na świecznikach, do nowych zasad współżycia obywatelskiego. No cóż nie każdy posiada zdolności do trzeźwego patrzenia na świat

Odsłonięcie obelisku poświęconego bitwie o Monte Cassino

Z biegiem czasu warunki egzystencji oraz wzajemnych układów społecznych zaczęły ulegać stopniowej stabilizacji. „Solidarność" wywalczyła zgodę na realizację swoich postulatów, jakkolwiek wcale to nie przeszkodziło wprowadzenia w 1981 roku stanu wojennego. Przeciwnie – ustrój społeczny coraz mocniej zaczął zmierzać do pełnej demokratyzacji. Nastąpił okres rehabilitacji szeregu osób niesłusznie skazanych na długoletni pobyt w więzieniach lub karę śmierci. Zmienił się też stosunek do Polaków, którzy walczyli w polskim wojsku za granicą i do tych, którzy uczestniczyli w podziemnych oddziałach partyzanckich, zwłaszcza w AK. Pod rosnącym naciskiem społeczeństwa udało się w końcu przeforsować sprawę uczczenia rocznicy bitwy o Monte Cassino. Popularyzowanie piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino" było dotąd zabronione choć śpiewana w ukryciu cieszyła się ogromnym powodzeniem u wszystkich Polaków nawet o zróżnicowanej orientacji politycznej. Tak jak padające krople deszczu potrafią wyżłobić najtrwalsze głazy kamienne, tak uporczywe starania mieszkańców Przemyśla doprowadziły do zaakceptowania przez ówczesne władze odsłonięcia obelisku o historycznej bitwie zwanej „Bitwą o Polskę" przy ulicy Monte Cassino. Uroczystość ufundowania obelisku przez Miejską Radę Narodową w Przemyślu miała miejsce 18 czerwca 1987 roku w 43 rocznicę zakończenia krwawych walk w bitwie, w której brało udział wiele sojuszniczych armii. Uroczystość ta odbyła się pod egidą Prezydenta miasta Przemyśla, p. Chabasiewicza (nota bene – byłego żołnierza Wojska Polskiego na Zachodzie) w obecności wojewody p. Cichockiego, z udziałem orkiestry wojskowej Wojsk Ochrony Pogranicza w Przemyślu.

Wśród zgromadzonej publiczności w czasie wygłaszania przemówienia przez Prezydenta miasta zapanowała głęboka cisza, której nikt nie przerwał, z zainteresowaniem wsłuchując się w publicznie po raz pierwszy wymawiane słowa o zapomnianych bohaterach tamtych dni.

Dla mnie, jako uczestnika walk o Monte Cassino uroczystość ta była emocjonująca, toteż bez uprzedniego uzgodnienia wystąpiłem ku zdumieniu władz – z przemówieniem obrazującym krótki przebieg bitwy, którą stoczyliśmy pod znamiennymi sztandarami „Za Naszą i Waszą Wolność". Liczne oklaski zakończyły tę niezwykłą i długo oczekiwaną uroczystość – po odegraniu przez orkiestrę wojskową hymnu narodowego.

Przeżyte głęboko chwile wspomnień o tych co szli przez obce kraje, by nieść wolność uciemiężonemu Krajowi nie powinny więcej nigdy przepaść w mroku zapomnienia.

Otwarcie cmentarza pomordowanych oficerów polskich z byłego obozu jenieckiego w Starobielsku – w lesie koło Charkowa

Długotrwałe poszukiwania członków mojej rodziny, dla której losy wojenne okazały się bezlitosne, podobnie jak losy wielu innych rodzin, doprowadziły do wskazania miejsc ich wiecznego spoczynku. Jedną z pierwszych ofiar wojny stał się mój najstarszy brat Zygmunt, podporucznik rezerwy 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich we Lwowie, który zginął w wieku 26 lat dnia 17 września 1939 roku w miejscowości Górki w Puszczy Kampinoskiej. Dzięki staraniom ówczesnego Nadleśniczego został pochowany na cmentarzu wojskowym we wsi Granica w powiecie Sochaczewskim. Po wielu zabiegach udało mi się doprowadzić do umieszczania tabliczki na jego grobie.

W wyniku prowadzonej wieloletniej korespondencji z Czerwonym Krzyżem w Genewie i Moskwie uzyskałem zawiadomienie o śmierci drugiego brata Jana, który zwolniony z łagru w trakcie podróży pociągiem na południe Związku Radzieckiego zmarł z wycieńczenia w 1942 roku mając 22 lata. Brat mój aresztowany w listopadzie 1939 roku przez NKWD został skazany na karę śmierci, zamienioną na 8 lat pobytu w sowieckim karnym obozie koło Murmańska. Niestety nie określono miejsca pochowania zwłok.

Trzecią z kolei ofiarą II Wojny Światowej w rodzinie był mój ojciec Ferdynand (57 lat) emerytowany porucznik Wojska Polskiego, wywieziony ze Lwowa do obozu w Starobielsku.

Otrzymywane skąpe wiadomości o warunkach pobytu w obozie internowanych zostały brutalnie przerwane na wiosnę 1940 roku. Dopiero po latach zmowy milczenia można było dowiedzieć się jaki był los jeńców oderwanych od swoich rodzin. Zostali na rozkaz Stalina w bestialski sposób zamordowani.

Tak zwana „sprawa katyńska" po raz pierwszy ujawniona została po zajęciu przez wojska niemieckie obszarów białoruskich w 1941 roku. Odkrycie masowych grobów oficerów polskich w Katyniu koło Smoleńska i po przeprowadzeniu wszechstronnych badań przez wybitnych specjalistów różnych krajów w tym z Polski i Szwajcarii pozwoliło na bezsprzeczne ustalenie, że makabryczne ludobójstwo było dziełem siepaczy bolszewickich. Powołana odrębna komisja radziecka usiłowała przerzucić ciężar odpowiedzialności za popełnioną zbrodnię na stronę niemiecką, lecz niewiarygodne dokumenty prezentowane przez tę komisję jak również niedopusz-

czenie ekspertów zagranicznych spowodowało odrzucenie przez opinię światową jednostronnie opracowanego orzeczenia. W swojej bezgranicznej bezsilności i zapamiętaniu Rząd Radziecki oskarżył o wspólne knowania niemiecko-polskie przeciwko Związkowi Radzieckiemu i zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim na Uchodźstwie. Sprawa odkrycia grobów polskich oficerów w obrębie byłego obozu w Katyniu i poszukiwania pozostałych miejsc eksterminacji Polaków trwały jeszcze przez kilka lat.

Koniec wojny, zmiany polityczne w ZSRR doprowadziły ostatecznie do zawarcia porozumień między państwowych w sprawie upamiętnienia wykrytych miejsc Kaźni i pochówku polskich obywateli, głównie oficerów. W wyniku tych porozumień został utworzony również między innymi cmentarz ofiar z byłego obozu w Starobielsku – koło Charkowa. Dzień otwarcia cmentarza ustalono na 17 czerwca 2000 roku. Dla członków rodzin został zorganizowany wyjazd na tę uroczystość czarterowym pociągiem. Wiadomość o wyjeździe została przyjęta z wielką ulgą, zarówno ja osobiście jak i wielu innych dotkniętych tragedią najbliższych osób, po tylu latach niepewności i złudzeń nareszcie mogliśmy wziąć udział w ceremonii pożegnania z tymi, na których czekaliśmy tak długo. Pociąg, który miał nas dowieźć na miejsce uroczystości był świetnie zorganizowanym transportem wojskowym. Zarówno realizacja ustalonego programu jak i zaprowiantowanie nie budziły najmniejszych zastrzeżeń. W czasie jazdy w obie strony nie doszło do żadnych zakłóceń, nie było też zbędnych przestoi czy kontroli granicznej. Po raz pierwszy miałem możność ujrzenia wspaniałego dworca kolejowego w Charkowie jak i tamtejszych mieszkańców, których co prawda było nie wielu w warunkach obstawionego placu kolejowego przez miejscową milicję. Po opuszczeniu wagonów kolejowych przesiedliśmy się do oczekujących nas autobusów z identyczną numeracją jaką posiadały wagony. Przed wyruszeniem na drogę do cmentarza orkiestra reprezentacyjna Wojska Polskiego przed dworcem na placu dała krótki koncert melodii wojskowych grając między innymi marsz I Brygady Legionów Polskich. Skupieni wokół placu dworcowego miejscowi mieszkańcy nagrodzili ten występ licznymi brawami, co wcale nie przeszkadzało znajdującemu się przed budynkiem stacyjnym... popiersiu Lenina. Następnie odjechaliśmy w kierunku cmentarza drogą pilnie strzeżoną przez wyznaczonych do tego celu milicjantów.

Wreszcie nastąpiła niezapomniana chwila ujrzenia tak długo oczekiwanego cmentarza, który był usytuowany w lesie – chwila wstrząsającego wzruszenia, chwila – której nie można zapomnieć do końca życia. Na nasze spotkanie cmentarz został całkowicie uporządkowany. Na wzniesionym frontowym murze wyryto nazwiska pomordowanych. Podobnie wzdłuż biegnącej po lewej stronie drogi umocowano metalowe tabliczki z podaniem nazwisk i krótkiej informacji identyfikującej ofiary. We wspomnianym murze u dołu znajdował się dzwon. Przed podestem ustawiono kilka rzędów krzeseł. Niezależnie od mogił zbiorowych było kilka grobów indywidualnych. Na drugim końcu cmentarza został wzniesiony mur upamiętniający pomordowane osoby cywilne i wojskowe narodowości ukraińskiej.

W dniu naszego przyjazdu nastąpiło otwarcie cmentarza obu nacji. W momencie wejścia na cmentarz wszyscy żywiołowo rzucili się w różnych kierunkach w celu odnalezienia tabliczek osób najbliższych. Momentalnie cmentarz zmienił swoje oblicze. Wzdłuż rozwieszonych tabliczek pojawiło się setki biało-czerwonych chorągiewek i zniczy. Po prostu cały cmentarz zaczął płonąć, co było widoczne nawet z dala, pomimo pięknej słonecznej pogody.

Po długotrwającej zadumie, wspominania niezapomnianej tragedii, niejednej wylanej łzy zaczęto w absolutnej ciszy przygotowywać się do celebracji Mszy Świętej. Po lewej stronie wzdłuż rzędu metalowych tabliczek ustawiły się Kompanie Honorowe Wojska Polskiego i Ukrainy. W kilku rzędach ustawionych krzeseł przed zaimprowizowanym ołtarzem zasiedli przedstawiciele miejscowych władz i Rządu Polskiego na czele z premierem Buzkiem. Orkiestra wojskowa odegrała hymn obu narodów, z kolei premier Buzek i premier Ukrainy wygłosili okolicznościowe przemówienia. Mszę świętą rozpoczął biskup polowy Wojska Polskiego arcybiskup generał Sławoj Leszek Głódź. Słowo boże głosili księża kapelani wyznania katolickiego, ewangelickiego oraz prawosławnego i żydowskiego. W trakcie mszy kompanie honorowe dokonywały prezentowania broni, co potęgowało nastrój modlitewnego uniesienia.

Niespodziewanie podczas mszy nastąpił wypadek nagłego poważnego zasłabnięcia jednej z głównych organizatorek tej wspaniałej uroczystości. Trzeba było niezwłocznie odwieść ją do szpitala.

Mszę świętą zakończyło dokonanie aktu poświęcenia cmentarza i odśpiewanie pieśni „Boże coś Polskę”. Przez długi czas wszyscy powracali myślą do okropnych przeżyć swoich najbliższych, snuli gorzkie wspomnienia, wymawiali modlitwy – związane niejednokrotnie z trudem powstrzymywania się od łez.

Po zakończeniu uroczystości wszyscy przeszli do przygotowanych namiotów na posiłek. Była to też okazja do wymiany poglądów z tubylczą ludnością przybyłą również w celu odwiedzenia pomordowanych swoich bliskich osób. Przed wejściem do autobusów doszło do małego incydentu. Jakaś hałaśliwa grupa niezidentyfikowanych osobników próbowała zakłócić spokój uczestnikom uroczystości. Nie doszło jednak do żadnych ekscesów z uwagi na szybką reakcję ze strony sił porządkowych. Po przybyciu na dworzec kolejowy i sprawnym załatwieniu niezbędnych formalności, ruszyliśmy pociągiem w powrotną drogę.

Atmosfera spotkania z Władzami i ludnością miejscową była poprawna, co świadczyło o możliwości współżycia wszystkich ludzi dobrej woli. Na pożegnanie mer Charkowa wręczył każdemu z nas duży bochenek chleba – synonim dobrobytu, zgodnie z istniejącym obyczajem.

Przemyśl 2010

Dodatkowe wiadomości o życiu autora w PRL: przebieg pracy, szczegóły inwigilacji przez Urząd Bezpieczeństwa, znajdzie Czytelnik we wstępie Piotra Chmielowca do pamiętnika „Czy tak być musiało” (str. 13) – *red.*

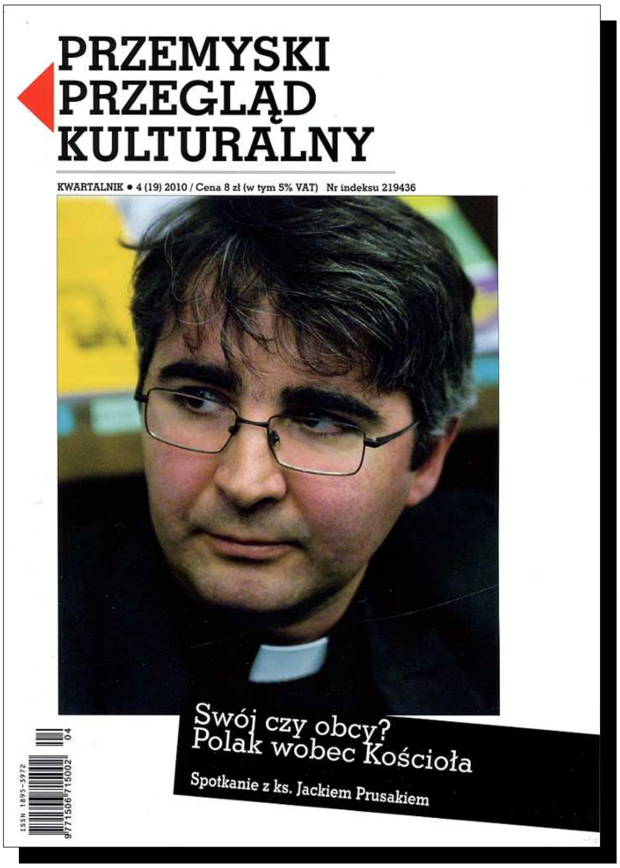


Obelisk przy ulicy Monte Cassino w Przemyślu – 18.06.1987

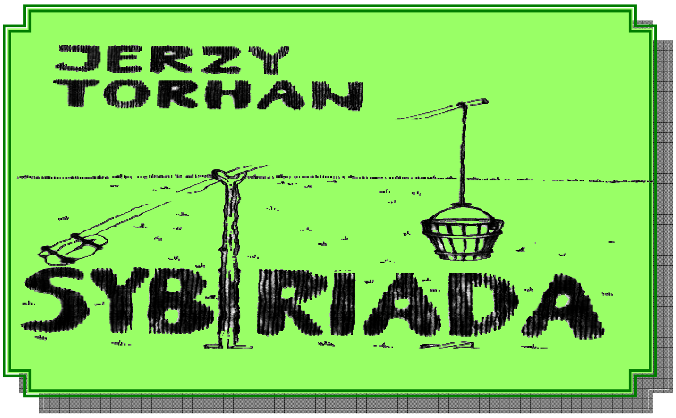


Starobielsk – 17.06.2000

Kolejna pozycja – dla koneserów – na naszej „Półce z książkami" – ostatni numer kwartalnika „Przemyskiego Przeglądu Kulturalnego (wydawn. Przemyska Biblioteka Publiczna).



architektura: Natalia STOJAK, **Sacrum w drewnie**
spotkania: **Swój czy obcy? Polak wobec Kościoła. Spotkanie z ks. Jackiem Prusakiem**
książki: Monika MAZIARZ, **Cezary Kościelniak, *Nowe krytyki Kościoła***
Andrzej JUSZCZYK, **Michał Głowiński**, ***Kręgi obcości. Opowieść autobiograficzna***
Łukasz MAZUR, **Tadeusz Słobodzianek, *Nasza klasa. Historia w XIV lekcjach***
Joanna KORPAL-DROZDOWSKA, **Sana Krasikov, *Jeszcze rok. Opowiadania***
Dorota ROJECKA, **Janusz Rudnicki, *Śmierć czeskiego psa***
Stanisław STĘPIEŃ, **Zinaida Gippius, *Dzienniki petersburskie (1914-1919). Dziennik warszawski (1920-1921)***
Jacek DROZDOWSKI, **Ewa Lipska, *Pogłos***
płyty: Piotr BAŁAJAN, **Dweezil Zappa, Iron Maiden, Volbeat**
wydawnictwa: Anna SICIAK, **W oku cyklonu, czyli przypomnienie o twierdzy Przemyśl oraz wędrówce do austriackiej ojczyzny przez słoneczny Turkiestan**
sztuka: Lila KALINOWSKA, **Obcy w moim domu**
Jadwiga SAWICKA, **Temperatura ciała i pokojowa**
Janusz POLACZEK, **Impresjonizm po niemiecku czy ekspresjonizm liryczny?**
Janusz POLACZEK, **Projekt panoramy grunwaldzkiej – zapomniany epizod z dziejów polskiego malarstwa panoramowego**
Agnieszka KORNIEJENKO, **Osierocone dokumenty**
Tadeusz NUCKOWSKI, **Widzieć czy wiedzieć?**
społeczeństwo: Olga HRYŃKIW, **Zanikanie**
felietony: Zdzisław SZELIGA, **Spacerki osobiste: Paluch zaborcy czy salomonowa decyzja?**



ZA CO I DLACZEGO?

Do niewoli, bez walki, wzięto Was tysiące.
Księży, policjantów i więziennej straży.
Za zryw patriotyczny i serca gorące.
Za to, że z Was każdy o wolności marzył.

Straż graniczną – bez granic Ojczyźnie oddaną.
Sprawiedliwych sędziów oraz profesorów,
Inteligencję techniczną – w całym kraju znaną –
Kapelanów niezłomnych i prokuratorów.

I Was oficerów, kwiat armii polowej.
I podoficerów. I zwykłych żołnierzy.
Zniewolono do reszty bez walki bojowej.
Chytry nieprzyjaciel z ukrycia uderzył.

Gdy szliście w szeregach zwartych kraj obronić.
Nie znając ani odrobiny trwogi.
Gdy każdy pragnął swych bliźnich ochronić.
Zadano Wam cios w plecy – skryty i złowrogi.

Dlaczego? W łagrach Katynia, w łagrach Ostaszkowa,
Kozielska i łagrach innych miejscowości
Kazano patriotom polskim wegetować.
Pozbawiając Ich prawa i ludzkiej godności.

Wśród nich byłeś tato – Ty – niezapomniany.
Przeżywałeś dramaty myśl zagłuszające.
Czułeś płomień tęsknoty wręcz nieopisany.
Widziałeś sceny tragiczne, zgrozą wstrząsające.

Za co cierpieli Ci wybrańcy losu?
Za jakie przewinienia, uczynki i grzechy?
Znęcano się nad Nimi bez sumienia głosu?
Nie dając odrobinę choć ludzkiej uciechy?

Dlaczego – drogi Ojcze – cały dzban goryczy
Wypijasz z dala od tych, którzy cię kochają?
Dlaczego dobre uczynki nikt Ci nie zaliczy?
Dlaczego na Was nienawiść swoją wyzwalają?

Za co pozbawiono Was domu – wolności?
Czy za słowa: Bóg, Honor i Wolna Ojczyzna?
Czy za waleczność, mowę, znamiona polskości?
Czy widoczna w „*dwudziestym*" odniesiona blizna?

Trudne były cierpienia, mimo silnej woli,
Znoszone przez Jeńców modlących się żarliwie.
„Pomóż przetrwać Boże, choć to bardzo boli" –
Prosili dniem i nocą w pokorze, gorliwie.

Odeszli prawie wszyscy czwórkami do nieba.
Z odwagą i honorem polskiego żołnierza.
Teraz już tym dzielnym niczego nie trzeba.
Prócz modlitwy za zmarłych – co pamięć odświeża.

Gdzie odszedłeś na zawsze Tato – dobry, drogi?
Czy w Katyniu posępnym? Czy na Morzu Białym?
Coś myślał, gdyś przekraczał życia ziemskie progi?
Z przerażeniem w oczach, z sercem odrętwiałym.

Odszedłeś z niewinnymi – Ojcze ukochany!
W zwycięstwo ozdobionej, polskiej aureoli.
Nam do dzisiaj krwawią tej tragedii rany.
Chociaż pływasz szczęśliwy w niebiańskiej gondoli.

Płomienia żalu po Tobie nic i nikt nie zgasi.
Gdzie spoczywasz? Nie wiemy, zbolałe sieroty.
Na cmentarzach są groby, kojący śpiew ptasi.
A ty gdzieś daleko! Płoniemy z tęsknoty!

O! Wojno okrutna, śmiercionośna żmijo.
Bezlitośnie przecinasz życie w kwiecie wieku.
Dlaczego mędrcy świata „*ciebie*" nie zabiją?
Dlaczego z tym tak zwlekasz ty – mądry człowieku?

Może takie tragedie już się nie powtórzą?
Bo narody zjednoczy modlitwa i praca.
Że tak kiedyś będzie, dobrzy mędrcy wróżą.
I w raz z nimi nasz Papież wiarą myśl wzbogaca.

Chrystus wszystkim grzesznikom dawał rozgrzesze-
nie. Łotrom, rozbójnikom, różnorodnym zdrajcom.
Pójdźmy jego śladem – dajmy przebaczenie!
Odpuśćmy w imię P o k o j u ! Naszym winowajcom.

Kraków, 26 września 1990 roku

KONIEC



Orlęta przemyskie – temat znany… a jednak…!

POST SCRIPTUM

***W 58 numerze „Quod Libet”** informowaliśmy, iż tablica przy pomniku „Orląt” w Przemyślu oznaczona numerem 4 (str. 17 i 18) zostanie wymieniona. Jest już nowa, o czym donosi Autor poniższego materiału:*

Przesyłam w załączeniu zdjęcie nowej wersji pierwszej odsłoniętej tablicy przy Pomniku Orląt.

Dlaczego pierwotna wersja tablicy została zmieniona? Wykonał ją artysta mieszkający w Warszawie, odlew nie udał się, a treść była mało mówiąca o historii obrony Lwowa w listopadzie 1918 r.

Nową tablicę ufundowali inspiratorzy ośmiu murków po obu stronach Pomnika. Siedem tablic powstało dzięki artyście plastykowi mgr Ryszardowi Torbie, odlewnikom inż. Stanisławowi i Markowi Kawińskim oraz członkom zarządu Stowarzyszenia Obrońców Pamięci Orląt Przemyskich – inż. Stanisławowi Żółkiewiczowi i moim.

Tablicę poświęconą Szarym Szeregom ufundowali przemyscy harcerze. Wszystkie tablice oprócz tej harcerskiej przedstawiają wydarzenia historyczne, bo taki był plan tematyczny tego miejsca pamięci narodowej.

Wymieniona przy pomniku tablica upamiętniająca walki Polaków z austriacko-rusińskimi rebeliantami przedstawia:

Od góry od strony lewej krzyż Virtuti Militari, którym marszałek Józef Piłsudski odznaczył Lwów za jego bohaterską obronę.

Na środku odznaka „Orlęta” przyznawana uczestnikom walk za wyzwolenie Lwowa i Kresów Wschodnich.

Z prawej strony największa głowa to Czesław Mączyński dowódca obrony Lwowa, syn Ziemi Przemyskiej, urodzony w Kaszycach. Szkoła w Kaszycach nosi jego imię.

Od lewej por. Abraham - obrońca Góry Straceń. Następna głowa to 14-letni Janek Bitschan syn płk. Zagórskiej, dowódcy Ochotniczej Legii Kobiet. Kolejny to ppłk. Karaszewicz-Tokarzewski dowódca przemyskiego oddziału, który poszedł na odsiecz Lwowa.

Na samym dole z karabinem najmłodszy obrońca Lwowa 13-letni Petrykiewicz odznaczony krzyżem Virtuti Militari.

Po lewej stronie fragmenty walki oraz krzyż symbolizujący Cmentarz Obrońców Lwowa.

U dołu z lewej strony trzy duże ostrza przypominające widły(?).

Jan Kramarz

ŻYCIA STOWARZYSZENIA

„ARTMUZ TRIO”



Kamila **Borowiak** Piotr **Kosiński** Weronika **Mokrzycka**

Marcowe spotkanie Członków, Sympatyków i Przyjaciół „*Stowarzyszenia Przyjaciół Przemyśla w Krakowie*” rozpoczęło się koncertem utworów Jana Brahmsa, Maurycego Ravela i Dymitra Szostakowicza w wykonaniu zespołu **ARTMUZ TRIO** w składzie: **Weronika Mokrzycka** – skrzypce; **Kamila Borowiak** – wiolonczela; **Piotr Kosiński** – fortepian. Słowo wstępne wygłosił **Jan Palczewski.**

Wszyscy Artyści są studentami Akademii Muzycznej w Krakowie. Koncert ten był prapremierą programu, jaki przygotowało trio na XVII Konkurs Muzyki Kameralnej w Miluzie, we Francji, który odbędzie się w połowie marca. Młodzi wykonawcy, pomimo swojego wieku, dojrzale i interesująco zagrali utwory należące do trzech różnych epok.

Na koniec nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć im odniesienia sukcesu na zbliżającym się konkursie.

Jacek Dudziński



Jan **Palczewski**

Przeczytajmy jeszcze co ma do powiedzenia na ten temat ***Wojciech Jan Śmietana***:

Z niekłamaną przyjemnością wysłuchałem omawianego wyżej koncertu. Młodzi artyści (nie waham się użyć tego określenia) zorganizowani w trio fortepianowym, zaprezentowali nie tylko ambitny program, ale również dobre opanowanie warsztatu i dojrzałość muzyczną.

Z założenia wynika, że w utworach kameralnych typu trio, kwartet lub kwintet fortepianowy, wiodąca rola przypada fortepianowi.

Nie ujmując nic nikomu z współwykonawców, których przed chwilą określiłem mianem młodych artystów (to brzmi dumnie), podkreślę twórczy wkład pianisty Piotra Kosińskiego w realizację poszczególnych pozycji.

Na uwagę zasługiwało dialogowanie między poszczególnymi instrumentami, prowadzone z pełnym wyrafinowaniem i zrozumieniem.

Mam nadzieję, że będzie to zauważone w czasie konkursu muzyki kameralnej we Francji, do którego przymierza się nasze trio.

Z zainteresowaniem będę śledził dalszy rozwój zespołu, życząc im wszystkiego najlepszego w szerokim tego słowa znaczeniu.

Kilka celnych i cennych informacji zawartych w słowie wstępnym, w dużym stopniu pomogło w percepcji prezentowanych pozycji.

Podziękować należy panu Janowi Palczewskiemu za tych kilka uwag dotyczących zarówno sylwetek kompozytorów jak i spraw związanych ściśle ze stroną muzyczną.










Michał Kozera rysuje



Uwaga: Wewnątrz numeru **dodatek** – „Bajka Przemyska” – cz. 3, ostatnia

Humor żydowski

Lichwiarz Pines poucza swojego syna:
– Powiedz no, Icuniu, co byś zrobił znalazłszy na ulicy dziesięć złotych?
– Schowałbym do kieszeni.
– Nie, tak się nie postępuje, synu! Jeśli dziesięć złotych, to zaniesiesz je na policję. Tam ciebie pochwalą, dadzą jednego złotego jako znaleźne i powiedzą: „Icek Pines to człowiek”.
– Dobrze tate.
– A powiedz mi synu, co byś ty zrobił znalazłszy dziesięć tysięcy dolarów?
– Zaniósłbym je na policję, tam by mnie pochwalili, dali dolarów jakom znaleźna…
– Nigdy w świecie – przerywa mu ojciec. – Jeżeli znajdziesz taką sumę pieniędzy, schowaj je do kieszeni!
– Tate – protestuje syn – to oni przecież nie powiedzą: „Icek Pines to człowiek”.
– Oj głupi! Jak masz w kieszeni dziesięć tysięcy dolarów to ty potrzebujesz być porządny człowiek?...

<<< >>>

Żyd wpada do sklepu zegarmistrzowskiego i trzęsie się z irytacji:
– Reb Ajzik, pan mnie oszukał! Pan jest łobuz! Kiedy tydzień temu kupiłem u pana ten oto zegarek, pan mi dałeś, tfu! Słowo honoru, że on mi chodził do końca moich dni. A teraz, proszę bardzo – werk stoi!
– Jak Boga kocham! – odpowiada Ajzik. – ja nie chciałem pana oszukać. Gdyba pan się widział w lustrze wtedy, jak pan kupował ten zegarek! Czy to moja wina, że stan pańskiego zdrowia uległ nagłej poprawie?!...

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 0124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz. Współpraca: W. Gaberle, M. Kozera, Z. Ostrowski, A. Sarkady, J. Schubert

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE
STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ
NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów. Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.